

Do euro nie kiedy, a czy!

W zasadzie wszystkie wypowiedzi premiera Donalda Tuska w sprawie wprowadzania przez Polskę waluty euro podkreślają oczekiwane z tym faktem przeróżne korzyści. Trudno doszukać się choćby najmniejszego śladu wątpliwości natury ekonomicznej, nie mówiąc o braku fundamentalnej refleksji związanej z definitywną utratą przez Polskę możliwości emitowania własnego pieniądza w kraju, a więc tym samym rezygnacji z ważnego atrybutu suwerenności i to w momencie rozszerzania się kryzysu gospodarczego w świecie. Rząd realizuje zatwierdzony przez siebie plan wprowadzenia euro w 2012 r., tak jakby decyzja ta była remedium na kryzys i prostą konsekwencją wejścia Polski do Unii Europejskiej; jakby z tego faktu wynikał automatyczny mandat upoważniający rząd do zastąpienia złotego walutą euro. Premier jest zachwycony słowacką „odwagą i wizją”, w związku z wprowadzeniem w tym kraju euro i to do tego stopnia, że nie kryje nawet, jak powiedział, uczucia zazdrości w stosunku do południowych sąsiadów.

Peanów na część Słowaków i ich euro nie mogli podzielać ci Polacy, którzy tuż po 1 stycznia, gdy kraj ten znalazł się w strefie euro, znaleźli się w słowackich górach na nartach. Tygodnik „Wprost” odnotował, że karnet na wyciągi w miejscowości Tatrzańska Łomnica kosztuje już 27 euro, czyli ponad 800 koron, a rok temu kosztował 670 koron. Wyższa cena nie była spowodowana kryzysem, ale zaokrągleniem ceny w euro

przez właściciela wyciągu. W ten sam sposób podróżowało wypożyczenie nart, grzane wino, opłata parkingowa, benzyna. Prawie wszystkie ceny poszły o kilka centów w górę. „Wasze doświadczenie kandydata, a teraz członka strefy euro będzie znakiem nadziei dla innych krajów naszej części Europy” – mówił premier Donald Tusk w Słowacji, do której specjalnie pojechał, aby pogratulować Słowakom „świątecznego wycucia czasu”. „My Polacy będziemy się od Was uczyć” – zapewnił uniżenie premier.

Wydawałby się, że premier stojący na czele Platformy i to Obywatelskiej pozwoli swoim obywatelom wypowiedzieć się co do tego „znaku nadziei”. Poza tym, czy można uszczęśliwiać obywateli na siłę, bez ich zgody? I gdzie tu czas na naukę? Odrzucenie przez premiera możliwości przeprowadzenia referendum w sprawie euro nie zostało nawet rzeczowo uzasadnione. Chyba że za uzasadnienie uznamy humorystyczne stwierdzenie premiera, że nie można ułożyć właściwego referendalnego pytania dla Polaków.

Rząd, przyjmując rok 2012 jako datę wprowadzenia euro, automatycznie odrzucił możliwość przeprowadzenia referendum. Nie chciał bowiem dopuścić do zanegowania tej daty. Tymczasem w referendum nie powinno chodzić o to, czy euro ma wejść wcześniej czy później, tylko o to, czy euro ma się pojawić zamiast polskiego złotego. Dlatego nawet przy odrobinie dobrej woli można by ułożyć bardzo wiele różno brzmiących pytań, by wybrać to jedno, najwłaściwsze do zadania w czasie referendum.

Tak jak to zrobiono w Szwecji czy Danii. Duńczycy odpowiadali w referendum na pytanie: „Czy powinniśmy uczestniczyć w Unii Walutowej i Gospodarczej, zastępując narodową walutę walutą euro?” Odpowiedź była jednoznaczna. 53 procent odpowiedziało - nie, a 46 procent było za wprowadzeniem euro. Można by zaproponować inne pytanie, podobne do tego, na jakie odpowiadali w tej samej sprawie Szwedzi. „Czy uważa Pani/Pan, że waluta euro powinna być w Polsce obowiązującą walutą?” 56 procent Szwedów powiedziało - nie, a 42 procent - tak. Czy nie podobnie wyniki padłyby w naszym referendum? A może byłoby dla euro jeszcze gorzej niż w Szwecji, która ma już tyle doświadczenia z bycia w Unii Europejskiej, tyle się od niej już nauczyła?

Jestem przekonany, że polskie ośrodki badania opinii publicznej znają opinie Polaków w sprawie euro. Z pewnością nie są one po myśli rządu Donalda Tuska, ale z powodów oczywistych dla zamawiających badania nie będą publikowane. Tylko jedna firma, TNS OBOP, opublikowała wyniki badań, ale pytanie na które odpowiadali respondenci, koncentrowało się na terminie wprowadzenia euro, a nie na istocie sprawy. Okazało się, że ponad 60 procent Polaków godzi się na euro, ale dopiero wtedy, gdy Polska osiągnie przeciętny poziom w Unii Europejskiej pod względem rozwoju gospodarczego, czyli zamożności obywateli Unii. Premierowi, który wszystko wie, stawiam pytanie - a kiedy to nastąpi? I czy w ogóle nastąpi?

Wygląda na to, że opozycyjne PiS pogodziło się z wprowadzeniem euro w Polsce. Ale czy na pewno? Domaga się przecież referendum w tej sprawie. PiS ma jeden wielki atut. Bez zgody dużej części posłów tej partii nie da się zmienić Konstytucji, która jest ostatnią przeszkodą dla zwolenników euro w Polsce. Może żądanie referendum to tylko modus operandi opozycji, a może jest to jakaś forma modus vivendi opozycji i Platformy Obywatelskiej?

Nawet jeżeli referendum stworzy tylko szansę opóźnienia naszego wejścia w strefę euro, to warto się o nie upominać. A poza tym jest to nasze konstytucyjne prawo.

Wojciech Reszczyński

„Nasz Dziennik” 15.01.09

Autor jest wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej PR